

Grzegorz Jeż: Dziennik o poranku

Oglądając peerelowskie dzienniki, uświadomiłem sobie, że twórczość Stanisława Barei stała się ofiarą zbyt łatwego śmiechu



Oglądając peerelowskie dzienniki, uświadomiłem sobie, że twórczość Stanisława Barei stała się ofiarą zbyt łatwego śmiechu

Od kiedy jestem na urlopie, niemal każdy dzień zaczynam od Dziennika Telewizyjnego. Niby nic wielkiego, ale są to wiadomości z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Po prostu tak się szczęśliwie złożyło, że na wakacjach uzyskałem dostęp do TVP Historia i codziennie o 8 rano zażywam dawkę peereleowskiej propagandy, która choć dziś może budzić śmiech, to jednak nie wolno jej lekceważyć. Jeszcze inaczej – te materiały trzeba oglądać w skupieniu i z uwagą, by uczyć się technik manipulacji i uodparniać na kłamstwo w polityce i życiu publicznym.

Taki pancerz ochronny i szczepionka w jednym na pewno nam się przydadzą. I nie o to chodzi, że, jak twierdzą niektórzy, dzisiejsza propaganda rządowa przypomina czasy PRL, a szczególnie schyłkowy okres rządów Edwarda Gierka. Nawet, jeśli niektóre elementy mogą rodzić podobieństwo, to jednak całościowo rzecz ujmując, jest to na pewno przesada. Aż tak źle nie jest. Dzisiejszy system polityczno – medialny mimo wszystko nie jest i nie może być tak szczelny, a

pojawienie się internetu zmieniło sytuację zasadniczo. Niemniej wciąż telewizja to główne medium (środek masowego przekazu – jak powiedzielibyśmy dawniej) i pewne mechanizmy pozostają te same.

Jest jeszcze jedna kwestia, dlaczego nie powinniśmy pozwalać sobie na zbyt łatwe żarty. Przede wszystkim nie wolno nam zapominać o tym, czym system komunistyczny był, a głupia z naszego punktu widzenia agitacja nie powinna przesłaniać podstawowych faktów, a mianowicie tego, że była to ideologia degradująca człowieka i państwo. Zniewolenie i bieda to była ówczesna codzienność, a zbrodnie komunizmu do dzisiaj nie zostały w pełni rozliczone i osądzone – ani moralnie, ani politycznie. Niby to wszystko wiadomo. A jednak błahy śmiech prowadzić może do rozwodnienia i oswojenia grozy i beznadziei, która wiązała się z ówczesnym reżimem. Oczywiście, w pierwszej chwili trudno się nie zaśmiać, gdy choćby w dzienniku z lipca 1987 roku słyszymy oświadczenie komunistów mongolskich, że jedyną szansą na zachowanie światowego pokoju, jest ściśle podążanie drogą wskazywaną od zawsze przez Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Gdy się jednak chwilę zastanowimy, widzimy, że to świat z Orwella – kompletne odwrócenie znaczeń słów i faktów. A gdy już to sobie uświadomimy, to już nie jest nam tak wesoło.

I właśnie oglądając peerelowskie dzienniki, uświadomiłem sobie, że ofiarą zbyt łatwego śmiechu stała się twórczość Stanisława Barei, która współcześnie coraz częściej postrzegana jest przede wszystkim jako przykład absurdalnego poczucia humoru bez drugiego dna, a które dla osób żyjących w PRL było doskonale zrozumiałe. Ot, taki polski Monty Python. Sceny z „Bruneta wieczorową porą” czy „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”, nie mówiąc już o „Misiu”, posługując się dekoracjami komediowymi, pokazywały przecież zakłamanie i udrękę codziennego

życia Polaków. Harcerz meldujący „cioci dzwoniącej z Londynu”, którą grał niezapomniany Bronisław Pawlik, że w aptece stoi w kolejce ponad sto osób, to po prostu prawda o ówczesnej rzeczywistości, a nie tylko „prawda ekranu”. Dzisiaj ten przekaz uleciał, rozmył się. Skecze z filmów Bareji nie są już nieznacznie tylko przejaskrawioną, ale wciąż prawdziwą rzeczywistością PRL, lecz takim samym absurdalnym żartem jak pythonowski kawał o piłkarskim meczu filozofów, martwej papudze, czy spadającym niczym *deux ex machina* odważniku o wadze 25 ton – stałym elemencie programów brytyjskiej grupy. Dzisiaj wprawdzie wciąż przerzucamy się cytatami z filmów mistrza komedii polskiej, a ten, kto zna na pamięć dłuższe ustępy, może zabłysnąć towarzysko i szczerze rozśmieszyć słuchaczy, lecz zgubiliśmy kontekst, tło historyczne. Ot, zabawa bez cienia refleksji. Stąd też właśnie konieczność zachowania elementarnej dyspozycji do namysłu i przy obcowaniu z twórczością reżysera „Nie ma róży bez ognia”, jak i podczas oglądania archiwalnych materiałów propagandowych sprzed lat kilkudziesięciu.

Grzegorz Jeż